

Wywiad z Danutą Orłowską

Ile miała Pani lat, gdy wybuchła II wojna światowa? I czy mieszkała Pani wówczas we Wrocławiu?

Orłowska: Gdy rozpoczął się wojenny dramat, miałam 12 lat i mieszkałam w Kościanie pod Poznaniem. To było wtedy spore miasto, w którym żyło prawie 30 tysięcy osób. Przed wojną uczęszczałam do prywatnej szkoły, gdzie uczyłam się języków: francuskiego i niemieckiego. Mój ojciec mawiał, że trzeba znać język wroga, bo wtedy można rozmawiać z obcymi żołnierzami i to może bardzo pomóc. Skończyłam cztery klasy szkoły powszechnej i wybuchła wojna. Ojciec był jednym z najbardziej znanych mieszkańców Kościana, dlatego znalazł się na liście osób przeznaczonych do rozstrzelania. Egzekucja miała nastąpić 27 października 1939 roku. Ale stało się tak, że moja mama wzięła mnie i mojego brata za ręce, po czym wszyscy razem poszliśmy do szefa Gestapo. Powiedziała, że jeśli nasz ojciec ma zginąć, to my razem z nim. Ale on upierał się, że ojciec był antyniemieckim działaczem i musi zginąć. Nic nie wskórawszy, wróciliśmy do domu.

To musiał być ogromny szok. Wybuch wojny, śmierć ojca, a Pani była przecież jeszcze dzieckiem...

Okazało się, że mieliśmy naprawdę mnóstwo szczęścia. Opowiem, co się stało. Okna naszego mieszkania wychodziły na rynek, gdzie Niemcy rozstrzelali kilku mężczyzn. Gdy strzały przycichły, podeszliśmy do okna i zobaczyliśmy ciężarówkę, na którą załadowano ciała zabitych. Na samej górze leżało ciało mężczyzny, który miał takie samo ubranie, jak mój ojciec. Mama z rozpaczyny zemdląła. Okazało się jednak, że był to przyjaciel taty, który miał identyczną jak on odzież. Po chwili do domu zapukał gestapowiec i powiedział do mamy: „Proszę się nie martwić, Pani mąż żyje. Został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau”. Mama z radości dała żołnierzowi piękny pierścionek zaręczynowy. Później zostaliśmy wysiedleni i zamieszkaliśmy u rodziny w Śmiglu. Tam też nie zabawiliśmy długo. Niemieccy żołnierze zabrali nas do obozu pracy w Berlinie. Przejężdżaliśmy przez Wrocław i trafił chciał, że w tym czasie miasto było bombardowane.

I do stolicy Niemiec Pani nie dotarła.

Na Dworcu Głównym musieliśmy wyjść, a mama zarządziła, że nie wracamy do transportu i uciekliśmy do miasta. Na dzisiejszej ulicy Zielińskiego mieszkała przyjaciółka mamy, pani Huebscher, która przed wojną wyszła za mąż za Niemca. U niej się ukryliśmy. Ona wiele ryzykowała, bo każdy Niemiec, który ukrywał Polaków, mógł być natychmiast rozstrzelany. I znów uśmiechnęło się do nas szczęście. Bo mąż pani Huebscher był profesorem Akademii Medycznej. Okazało się, że dzień przed naszym

przyjazdem operował szefa Gestapo we Wrocławiu. I udało mu się przekonać go, żeby skierował nas do obozu pracy w tym mieście, a nie w Berlinie. Dowiedzieliśmy się wcześniej, że do Wrocławia z Dachau skierowano mojego ojca. Pracował tu w obozie na dzisiejszych Osobowicach. I po tygodniu rodzina była już w komplecie.

Jak wyglądało obozowe życie?

Warunki były przerażające. Żyliśmy w obskurnych barakach, pełno było różnego robactwa. A do mnie robaki jakoś się garną (śmiech). Obierałam ziemniaki w obozowej kuchni, brat mój pracował w ogrodzie, mama w kuchni, a ojca kierowano na różne roboty. Pewnego dnia na tzw. targu niewolników (na którym „handlowano” 3-4 razy w tygodniu przy dzisiejszej ul. Cybulskiego) przyszedł strażnik i zawołał do mnie i ojca: „Ty i ty do samochodu”. Później odwieziono nas na targ. Nagle weszła bardzo elegancka kobieta. Ucieszyłam się na jej widok. Pomyślałam, że nareszcie trafię do jakiejś rodziny i nie będę musiała żyć w tym podłym obozie. Podbiegłam do niej i zaczęłam ją całować po rękach.

Pamiętam, że miała piękne skórzane rękawiczki.

I co działo się dalej?

Niemka złapała mnie za ramiona i zapytała: „Ty też”? Odparłam, że tak i poprosiłam, by mnie zabrała. „Kupiła” też mojego ojca. Po drodze do jej domu tata wspomniał, że w obozie została też mama i brat. Odparła, że ich też wykupi. Wszyscy razem trafiliśmy do eleganckiej kawiarni, jednej z najpiękniejszych w ówczesnym Breslau. Mieściła się ona przy dzisiejszej ul. Szczęśliwej. Traktowano nas tam dobrze, dostawaliśmy jedzenie i mieszkaliśmy razem w jednym pokoju. Tam dotrwaliliśmy do stycznia 1945 roku. Pewnego dnia usłyszeliśmy w radio, że Wrocław ogłoszono twierdzą. Tato się ucieszył. Powiedział, że to oznacza, iż za kilka dni będziemy wolni, a wojna się skończy. Zabronił mi jednak się cieszyć, żeby to nie zdenerwowało Niemców.

Co po ogłoszeniu Festung Breslau stało się z kobietą, która swego czasu przygarnęła Panią wraz z rodziną do pracy w kawiarni?

Gdy Wrocław stał się twierdzą, mój ojciec pojechał z nią na Dworzec Nadodrze, z którego odjeżdżały ostatnie pociągi do Rzeszy Niemieckiej. Przy dworcu istniał wcześniej punkt opatrywania rannych. Wokół niego na ławkach leżały zawiniątka z ciałami martwych noworodków. Nagle otworzyło się okno w jednej z pobliskich kamienic. Kobieta podała mojemu ojcu zawiniątko, w którym też było ciało niemowlaka. Prosiła, byśmy je pochowali. Wzięliśmy ciało i poszliśmy do lekarza przy dworcu. Ten bez wahania stwierdził, że dziecko nie żyje. Tacie udało się znaleźć gdzieś siekierę, wykopaliśmy nieco zamrożonej ziemi i pochowaliśmy to dziecko. Po wojnie chodziliśmy na ten grób i zapalaliśmy tam świeczkę. Ale później te okolice remontowano, drzewo, pod którym pogrzebaliśmy zwłoki, wycięto. Takie były przerażające realia życia we Wrocławiu pod koniec wojny...

Można powiedzieć, że wojnę udało się Pani rodzinie przeżyć stosunkowo spokojnie.

Tak, ale za to podczas oblężenia doznaliśmy wielu okrucieństw wojennej zawieruchy. Okazało się, że Plac Grunwaldzki Niemcy chcieli przebudować na lotnisko. Tam zbierali przymusowych robotników do pracy. Była to wtedy piękna dzielnica Wrocławia, zamieszкана głównie przez inteligentów, zwłaszcza lekarzy z pobliskich szpitali. Wszyscy prócz mojego ojca trafiliśmy tam do pracy. Tam przeżyliśmy horror.

Dlaczego nie było z Państwem ojca?

Po ogłoszeniu Wrocławia twierdzą ojciec uznał, że zamurujemy się w piwnicy w kamienicy przy obecnej ul. Szczęśliwej 64. To był średnio rozsądny pomysł. W tym bloku mieszkała Niemka, wdowa po żołnierzu, który zginął na froncie wschodnim. Ona zamieszkała z nami, a wraz z nią dwójka jej małych dzieci – synek i córeczka. W tej piwnicy spędziliśmy jakiś czas. Niemcy zaś ogłosili, że wszyscy, którzy są na linii frontu, mają opuścić miasto. Przez dwa tygodnie żyliśmy jak przysłowiowe myszy pod miotłą. Mieliśmy do jedzenia tylko marcepan i różne ciastka, a do picia wino. Taki posiłek może być dobry na jeden dzień, ale zapewniam, że na dłuższą metę słodczyce potrafią solidnie zbrzydnać (śmiech). Ojciec miał taki lufcik w murze, przez który obserwował sytuację na podwórzu. Miał też kawałek białego płótna na kijku. To miał być znak dla rosyjskich żołnierzy, że się poddajemy. No i pewnego dnia ojciec krzyknął: „Rosjanie są na podwórku, wystawiamy flagę”.

Ale skoro zamiast upragnionej wolności trafiliście do robót przymusowych na Placu Grunwaldzkim, to raczej nie byli żołnierze radzieccy.

Okazało się, że to nie była Armia Czerwona, tylko żołnierze niemieccy, którzy mieli identyczne jak Rosjanie czapki zimowe. Było wtedy bardzo zimno, panował siarczysty mróz i te feralne czapki zmyliły mojego ojca. Pech chciał, że ogłosiliśmy „poddanie” tuż przed tymczasowym sztabem gestapo. Niemcy, gdy zobaczyli naszą białą flagę, wpadli w szal i szybko znaleźli drogę do piwnicy, w której się ukrywaliśmy. Znaleźli nas i chcieli natychmiast rozstrzelać. Znów mieliśmy szczęście, bo postawili nad przed sądem wojennym. Ale i tak skazano nas na śmierć. Nasza niemiecka towarzyszka niedoli padła przez gestapowcami na kolana i błagała, żeby nas oszczędzili, że jej mąż zginął na wojnie. Ci się zlitowali i orzekli, że rozstrzelany zostanie tylko mój ojciec. Natychmiast doskoczył do niego żołnierz, zabrał za róg i zastrzelił. Przynajmniej tak wtedy myśleliśmy. Byliśmy święcie przekonani, że ojciec nie żyje, bo widzieliśmy, jak żołnierz strzela.

To musiał być dla Państwa szok. Wyzwolenie wydawało się być na wyciągnięcie ręki, a tu nagle ginie ojciec...

Na szczęście historia i ślepy los znów okazał się dla nas łaskawy. Po gruzach Krzyków ten żołnierz, który miał być zabójca mojego ojca, przeprowadził nas w okolice Placu Grunwaldzkiego. Przy dzisiejszym kościele św. Wojciecha zatrzymał się i dał nam kartkę z informacją, że ojciec żyje. Oczywiście, nie uwierzyliśmy w to. Prosił nas też w tym liście, byśmy po wojnie skontaktowali się z jego rodziną w Niemczech i opowiedzieli, że zachował się godnie. Po wojnie rodzice szukali żony tego żołnierza w Monachium. Okazało się jednak, że ta kobieta zginęła w nalocie bombowym na miasto pod koniec wojny.

Co robiliście Państwo w okolicach Placu Grunwaldzkiego?

Usuwaliśmy tam gruz ze zniszczonych podczas bombardowań domów. Obcokrajowcy (głównie Polacy) tam pracujący mieli zakaz uciekania podczas nalotów. Musieliśmy ukrywać się przed bombami w gruzach. Mieszkaliśmy w piwnicy z jednej z kamienic na Zalesiu. Wracaliśmy tam za dnia na posiłek. Pewnego dnia szłam na obiad dzisiejszą ulicą Parkową. Tam przy krzaku leżał starszy pan, Niemiec i krzyknął do mnie: „Połóż się koło mnie, nadlatują samoloty, będzie bombardowanie”. Położyłam się, on złapał mnie za rękę i przeleżałam tak pół godziny. Gdy chciałam wstać, ten mężczyzna nadal mocno mnie trzymał i nie mogłam się wyrwać. Poprosiłam o pomoc przechodzącą kobietę. Ona zaś,

przerażona, odparła: „On już nie żyje!”. Tego mężczyznę zabiły szrapnele, plecy miał całe rozszarpane przez odłamki. Ale uratował mi życie... Do dziś, gdy ktoś złapie mnie mocniej za dłoń, wracają do mnie wspomnienia tamtej tragedii.

Wspomniała Pani, że niemiecki żołnierz ponoć oszczędził jej ojca. Czy udało się Pani rodzinie go odnaleźć?

Niemcowi trudno było zaufać. To było nie do pomyślenia. Ale okazało się, że mówił prawdę. 28 kwietnia 1945 roku przypadkiem zobaczyliśmy ojca na Moście Szczytnickim. Okazało się, że po domniemanej egzekucji ojciec uciekł z Wrocławia i przedarł się do mojej babci, do Śmigła. Codziennie obserwowali ze strychu łunę płonącego miasta, tak dramatycznie wyglądał Wrocław. Ojciec uznał, że to dla niego za wiele i wrócił do miasta. Znow przedarł się przez front. Na swojej drodze, w pobliżu Placu Grunwaldzkiego, spotkał Rosjanina i zapytał, czy nie widział pracującej tu blondynki z dziećmi. Rosyjski robotnik odpowiedział, że jest tu taka. Ojciec przesiedział całą noc pod Mostem Szczytnickim, by na drugi dzień szukać nas w okolicy placu robót. I nas znalazł. Mama aż zemdląła z wrażenia. Ojciec przyłączył się do nas i razem mieszkaliśmy w tej piwnicy na Zalesiu. Dostał Arbeitskartę (kartę pracy – przyp. ŁM), bez której nie mógł legalnie poruszać się po mieście i za jej brak mógł natychmiast zostać rozstrzelany. Do końca wojny zostaliśmy już razem.

Niesamowita historia...

A to jeszcze nie wszystko. Gdy ojciec przebywał w Śmiglu, babcia dała mu pierścionek, który na początku wojny mama dała niemieckiemu żołnierzowi w zamian za informację, że mój ojciec żyje. Okazało się, że gdy Niemcy opuszczali ówczesny Kraj Warty, ten żołnierz jakimś cudem dowiedział się, że babcia mieszka właśnie w Śmiglu. Przyjechał tam i oddał ten pierścionek. Teraz jest on rodzinną relikwią, trzymam go na prezent dla mojej wnuczki.

Co sprawiło, że Pani rodzina – pochodząca przecież z Wielkopolski – po wojnie nie wróciła w rodzinne strony, tylko zdecydowała się zostać we Wrocławiu? Z tym miastem wiązało się przecież wiele przykrych dla Państwa doświadczeń.

Po wojnie rodzice faktycznie chcieli wyjechać z Wrocławia. To miasto źle im się kojarzyło, wiele tu wycierpieli. Ale ja z bratem sprzeciwiliśmy się (śmiej). Poza tym nasze dwa domy w Poznaniu zostały zniszczone, a do mieszkania w Kościanie wprowadzili się inni lokatorzy. Tłumaczyliśmy, że nie po to walczyliśmy o wolny Wrocław, by teraz z niego wyjeżdżać. I zostaliśmy. Trafiliśmy do gimnazjum przy dzisiejszej ul. Poniatowskiego, tato zaczął pracę w szpitalu wojewódzkim. Mama niestety zmarła kilka lat po wojnie. Po tylu przeżyciach i okropieństwach trudno było jej żyć dalej. Zdałam maturę, później rozpoczęłam studia na historii sztuki, wreszcie trafiłam do Ratusza. Już podczas wojny mówiłam wszystkim: „Ratuszu, nie daj się zburzyć, bo ja kiedyś będę u Ciebie pracować” (śmiej).

Jak wyglądało życie w pogruchotanych wojną mieście?

Cieszyliśmy się tak bardzo, że Wrocław – mimo koszmarnych zniszczeń – jest polski, że jest nasz. Niemcy, którzy zastali w mieście koniec wojny, bali się dalej tu mieszkać i wracali do kraju. Napływali za to mieszkańcy z innych rejonów Polski, głównie z dawnych Kresów Wschodnich. Ale mimo tego, że wojna się skończyła, w mieście nadal działały się okropieństwa. Sporo problemów sprawiali stacjonujący tutaj żołnierze Armii Czerwonej. Na pierwszej linii frontu służyli głównie bandyci. Przez prawie miesiąc mieszkaliśmy w piwnicy na Zalesiu głęboko ukryci. Radzieccy żołnierze nocami grasowali i gwałcili

kobiety, to było straszne. Ojciec zastawił wejście do piwnicy znalezionymi gdzieś szafami i czuliśmy się w miarę bezpiecznie. Ale muszę przyznać, że żyło tu wtedy mnóstwo wspaniałych ludzi. Każdy sobie pomagał, wymieniano się jedzeniem, pomagało szukać lekarzy i lekarstw, gdy ktoś zachorował. Wszyscy się cieszyli z tego, że wojna się skończyła, nikt nikomu nie chciał zrobić krzywdy. Było wspaniale! Dziś Polacy to już zupełnie inny naród, żyjemy też w zupełnie innym świecie...

Czy wojenne przeżycia wracały jeszcze do Pani w „nowym”, powojennym życiu?

Takie wspomnienia zostają w człowieku na zawsze. Ale raz zdarzyła się sytuacja szczególna. Na przełomie lat 70. i 80., gdy pracowałam w Ratuszu jako urzędniczka, zadzwonił do mnie ówczesny wojewoda wrocławski. Polecił, bym się przygotowała, bo wdowa po burmistrzu Spielhagenie chce zobaczyć miejsce, w którym zginął jej mąż. Spielhagen w styczniu 1945 roku sprzeciwił się decyzji o uczynieniu Wrocławia twierdzą i został skazany na śmierć przez nazistów. Wyrok natychmiast wykonano. Wdowa po nim przyjechała do Wrocławia z córką, wnuczką i zięciem. Przywitałyśmy się, a później poprosiła, czy może zobaczyć pokój, w którym wydano na jej męża. Okazało się, że to ten sam gabinet, w którym wtedy urzędowałam. Opowiedziała mi, że ciało jej zabitego męża wrzucono do Odry. Poprosiła też, że chciałaby spędzić trochę czasu w tym pokoju sama. Siedziała w nim trzy godziny, później napiłyśmy się kawy. Była zmieniona na twarzy, widocznie wspominała męża i całe życie. Dowiedziałam się później, że pani Spielhagen zmarła wkrótce po wizycie w Ratuszu.